

Halloween po podlasku... 8 listopada Dzień Św. Dymitra Sołuńskiego. Prawosławne zaduszki.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... Surowy listopadowy krajobraz okryty rankiem mlecznobiałą rosą, zaś wieczorem – spowity gęstą mgłą zdaje się skrywać jakąś tajemnicę. Zamierająca przyroda odsłania niewidoczną bramę łączącą dwa światy – żywych i umarłych. Wiara w nadnaturalne spotkania przetrwała wieki – jej pokłosiem są współczesne Zaduszki – w kościele katolickim oraz Dymitryjewska Sobota obchodzona przez cerkiew wczoraj 8 listopada. Historia kultu św. Dymitra sięga V wieku, za sprawą misjonarzy Cyryla i Metodego był to jeden z pierwszych świętych czczonych przez Słowian. Święty Dymitr – męczennik za wiarę, sprawujący opiekę nad zmarłymi (pierwotnie był patronem żołnierzy) – po dziś dzień słynie cudów i uzdrowień. Cudowna ikona Dymitra Sołuńskiego znajduje się w Sakach, każdego roku przybywa tu kilkaset pielgrzymów w nadziei o pomoc. Drewniane bale zabytkowej cerkwi przesiąknięte są słowami płomiennych modlitw, słowami nadziei i podziękowań – [sprawdź](#). Natomiast w Dymitryjowską Sobotę, przypadającą zawsze w ostatnią sobotę przed dniem św. Dymitra, wierni kościoła prawosławnego czcili zmarłych krewnych. Odprawiane wówczas obrzędy miały zapewnić przychylność i opiekę przodków, jednocześnie pomagały duszom w osiągnięciu spokoju w zaświatach.

W dzień zaduszny nic nie dzieje się bez przyczyny. Już sama tradycja czczenia zmarłych towarzyszy ludzkości od zarania dziejów – ba! niektórzy naukowcy są zdania, że wszelkie obrzędy i związane z nimi święta – niegdyś pogańskie, później w jakiś sposób poskromione i przejęte przez chrześcijaństwo – wyrastają z kultu życia pozagrobowego (z długiej listy świąt wymienimy wigilię św. Jana czy Wielkanoc). Wszakże kto miał by wstawić się za bezbronnymi ludźmi, skazanymi na łaskę i niełaskę tajemniczego losu i kaprysów natury jak nie krewni, znajdujący się właśnie po tamtej tajemniczej stronie? Zanim jednak na dobre rozkręcimy teorię tradycji, spróbujmy ukonstytuować historię Zaduszek w czasie. W Polsce tradycja Dnia Zadusznego zaczęła się tworzyć w XII wieku, a z końcem XV wieku była znana w całym kraju. I tak, jak przed wiekami, tak i teraz bliscy udają się na groby zapalić znicz – symbol pamięci. Czynią to zarówno katolicy (w Dzień Zaduszny 2 listopada) jak i prawosławni w Dymitryjowską Sobotę – tuż po panichidzie (czyli modlitwie za zmarłych, odprawianej w cerkwi). Dodatkowo na prawosławnych cmentarzach tego dnia można znaleźć przy grobach kawałki jedzenia – zwyczaj ten także wywodzi się z przedchrześcijańskich praktyk. Bo choć symbolika chrześcijańska została przyjęta, dawne tradycje przetrwały. Mało kto dziś pamięta, ale mały płomyk znicza skupia i wielki etos wiary chrześcijańskiej i prastare echa – dziś ledwo słyszalne tego, co praktykowali Słowianie na długo przed zakorzenieniem się chrześcijaństwa. Palenie zniczy to okruchy dawnego zwyczaju rozniecania ognisk przy obejściach i rozstajach dróg. Wierzono w oczyszczającą moc ognia, który ogrzeje błąkające się dusze – zwane dziadami, a żywych – ochroni przed złem. Bowiem zaduszkowa noc to czas dziwów, czas gdy zmarli odwiedzają swych bliskich. W wielu miejscowościach otwierano okna i drzwi, aby dusze mogły swobodnie wejść i uczestniczyć w przygotowaniach do kolacji. Aby jednak nie zakłócić ich spokoju, nie wolno było wykonywać wielu czynności, np. kisić kapusty czy wylewać wody (by nie oblać przypadkowo gościa z zaświatów), a gdy spadła łyżka, nie wolno jej było podnieść. Zakazane było też np. uderzenie pięścią w stół, aby nie wystraszyć biesiadujących przy nim dusz, a wszelkie rozmowy mogły dotyczyć tylko zmarłych przodków. Odbywająca się w domu uroczysta kolacja składała się z nieparzystej liczby potraw. Tego wieczoru starano się ugościć zmarłych jak najbogaciej, aby uzyskać tym samym ich przychylność. Starania te przybierały różne formy np. w okolicach Hajnówki przygotowywano przy stole jedno miejsce wolne, aby dusza mogła zasiąść do wieczerzy z domownikami. Dla „spóźnialskich” duszyczek pozostawiano jedzenie na stołach. Wszystkie te zabiegi miały służyć zaskarżeniu sympatii zmarłych, wierzono że odpowiednio ugoszczeni otoczą dom opieką. Pomoc z zaświatów była na tyle pożądana, że co sprytniejsi gospodarze chcąc upewnić się o wizycie, często na środku izby rozsypywali popiół w nadziei, że nieroztropna dusza zostawi na nim ślad, a gospodarze mieli mieć pewność, że ich starania nie poszły na marne.

Dziadami nazywano tylko dusze przodków zmarłych śmiercią naturalną. Gęsia skórka wywoływała sama myśl spotkania dusz tragicznie zmarłych i samobójców. Skazane na wieczne błąkanie się po ziemi jako demony, lubiły nawiedzać żywych. Jednak tradycja wyposażyła gospodynie w skuteczną broń – magiczne zioła takie jak dziewanna, dziurawiec czy piołun skutecznie odstraszały nieproszonych gości.

Magiczny czas Dziadów nadal jest praktykowany, zmieniła się jednak forma obrzędów. Dziś dawne zwyczaje szyskowania poczęstunku dla dusz zastąpiły modlitwy, nabożeństwa oraz tzw. *wypominki* odmawiane przez duchownych na cmentarzach. Wypominki to nic innego jak wywoływanie imion i nazwisk osób pochowanych na danym cmentarzu. Z kolei tradycję rozpalania ogniska przy grobach zastąpiło palenie zniczy. Wciąż jednak, zwłaszcza na wsiach, żyjący krewni przynoszą jedzenie na groby bliskich.

Katarzyna Miszczuk